

O „standardzie białoruskim”

Żadnej Somosierry czy Monte Cassino, żadnej odsieczy wiedeńskiej, żadnego zrywu „za wolność waszą i naszą”. Zabieganie o sympatię często niewiele kosztuje – ot, pamiętanie o tym, że z „Polski Jagiellonów” wyrosło kilka narodów, których wrażliwość jest odmienna od polskiej – pisze Ewa Thompson w felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Wciąż napotykam w polskiej debacie publicznej wyrażenia typu „standard białoruski”. „To jest Białoruś!”, lamentują komentatorzy i politycy, gdy mowa o jakimś kontestowanym posunięciu władz. „Białoruś w Polsce!” To ostrzeżenie pojawia się nie tylko w wypowiedziach osób nierozumiejących wagi słów i rzucających nimi beztrzesko na forum publicznym, ale i w tekstach osób z grup elitarnych. Za każdym razem odbieram to, jak zgrzyt żelaza po szkle.

Białoruś jest prawdopodobnie najmniej korzystnie położonym narodem wśród narodów słowiańskich. Niewielka terytorialnie i liczebnie, bez dostępu do morza, z językiem, któremu nigdy nie dano szansy rozwoju (pisarze na ogół wynaradawiali się, lgnąc albo do Rosji, albo do Polski), jest obecnie obarczana, i to przez polskich kuzynów, którzy powinni lepiej te rzeczy rozumieć – grzechami Moskali. A przecież Białoruś jest okupowana tak, jak niedawno Polska, przez rosyjskie siły zbrojne. W ten sam sposób, w jaki armia rosyjska stacjonowała w Polsce, teraz stacjonuje na Białorusi. Białoruski rząd jest w pełni zależny od rządu w

Moskwie. Zastój cywilizacyjny i ekonomiczny, który jest nieuchronnie udziałem narodów podbitych przez Moskwę i którego Polacy tak boleśnie doświadczyli, jest również udziałem Białorusinów.

Z punktu widzenia polskich interesów, tego rodzaju pomówienia są świetnym sposobem budowania wrogości Białorusinów w stosunku do Polski. Trudno być przychylnym krajowi, w którym używa się słowa, oznaczającego narodowość, jako synonimu tyranii, brutalności, bezprawia. Na szczęście Białorusini nie śledzą aż tak pilnie polskich mediów.

Sprawa wydaje się jeszcze bardziej niepojęta, gdy przypomnimy sobie wciąż aktualną w Polsce walkę o używanie słowa „niemiecki” raczej niż „nazistowski”, gdy mowa o przestępstwach drugiej wojny światowej. W tej wojnie naród niemiecki stał murem za swoim przywódcą. Żołnierze nie dezertowali, oni zabijali i niszczyli tak, jak im rozkazywano. Czy Białorusini stoją murem za Łukaszenką? Wątpliwe, wzięwszy pod uwagę ilość więźniów politycznych (1300 w 2024 roku, według Carnegie Russia Eurasia Center).

Peggy Noonan, niegdyś autorka przemówień Ronalda Reagana, obecnie felietonistka *Wall Street Journal*, zauważyła niedawno, że Amerykanie zaczynają „rozkoszować się nienawiścią”. Kraj jest tak podzielony ideologicznie, jak nigdy w przeszłości. Moim zdaniem ma to związek z dopuszczeniem ekstremistów typu *woke* i transgender do mainstreame’u, ale to oddzielny temat. Peggy Noonan zauważa, że nienawidzimy się nawzajem, jak nigdy w przeszłości, i że ta orgia politycznej nienawiści niszczy amerykańską społeczność. Jej ocena sytuacji pasuje również do Polski. Jakże często w Polsce dyskusja toczy

się nie po to, aby coś udowodnić, przyjąć za pewnik i iść dalej, ale po to, by dogryźć i zranić interlokutora. „Będziesz siedział!” „*Tu quoque!*” Szermowanie Białorusią po to, aby dopiec przeciwnikowi, wpisuje się w „rozkoszowanie się nienawiścią” kosztem często niezwiązanej z tematem Białorusi.

Więc jakich słów używać? Ja bym proponowała „postsowiecki” lub po prostu „sowiecki”. Albo w ogóle nie używać porównań, sytuacja jest *sui generis*. No i rzecz oczywista: Polacy powinni zabiegać o sympatię Białorusinów, tak zresztą, jak i o sympatię innych narodów na wschód od Polski. Oddzielają one Polskę od moskiewskiego imperium. Nie, nie proponuję podlizywania się ani oddawania sąsiadom swojego dobytku. Żadnej Somosierry czy Monte Cassino, żadnej odsieczy wiedeńskiej, żadnego zrywu „za wolność waszą i naszą”. Zabieganie o sympatię często niewiele kosztuje – ot, pamiętanie o tym, że z „Polski Jagiellonów” wyrosło kilka narodów, których wrażliwość jest odmienna od polskiej.

Ewa Thompson
Rice University